

Tawerna

Wyglupy powinny się były już dawno skończyć. Koniec przychodzi zawsze w klimacie znudzenia i dlatego pewnie bywa taki podniecający. Grupki widzów z ostatnich rzędów dyskretnie opuszczały salę, a jurorzy, jeden po drugim, coraz częściej spoglądali na zegarki. W pomieszczeniu obok młode pracownice domu kultury szykowały kolację dla artystów.

Wracamy do hotelu — szepnąłem do Franka, rozglądającego się gorączkowo od jakiegoś czasu za wychodzącymi dziewczynami.

Poczekaj, zaraz się zacznie.

To czekaj sobie, nie będę zamykał drzwi. A zresztą możesz nie wracać — delikatnie przesunąłem się w kierunku przejścia. — Tylko się nie wpierdol, po ciemku, do mojego łóżka — ostrzegłem.

Coś ty zwariował? — Franek patrzył raz na mnie, raz na dziewczynę obok. — Tyle towaru, a ty będziesz spał. Wynajmiemy jakieś laski, kupi się wino i do rana przeleci. Przecież gram dopiero w sobotę.

W tym momencie odezwały się brawa i było już wiadomo, że to koniec spektaklu. Skrzypnęły krzesła. Zapalono światła, rozległ się gwar rozmów, śmiechy i okrzyki.

Franek zerwał się i potracił mnie ramieniem.

Tam obok będzie bankiet. Dadzą zreć i chyba jest barek. Zajmij miejsca, a ja pójde kupić flakona. Tak na noc, no nie. Przezorny zawsze podbezpieczony.

Znikł w grupie młodzieży przed drzwiami wyjściowymi. Zrzuciłem torbę na ramię i ruszyłem za nim. Nie spodziewałem się żadnych rewelacji. Znałem takie spotkania. Wieczory z dyskusją, potem stare dowcipy, jakieś śpiewy, wreszcie bełkotliwe rozmowy o duszy i hotel.

Przyjechaliśmy do tego prowincjonalnego miasta na festiwal teatrów studenckich, a nasz teatrzyk miał pokazać pretensjonalne widowisko „Tawerna”, którego byłem autorem. Franek grał bosmana z papugą pancerną. Kaśka grała papugę. Reszta zespołu to majtki (siedmiu), a dobry duch tawerny (Michał) rozdawał na zakończenie prawdziwe majtki. Dla publiczności. Rozpacz w czterech odśłonach. Ale to dopiero w sobotę. Oczekiwanie na kompromitację to jeszcze nie trema. W półmroku salki bankietowej wybrałem czteroosobowy stolik, niedaleko sklejkowych drzwi ze stylizowaną tabliczką podpisaną: Klub Harcerski „Giaur”. Usiadłem przodem do wejścia.

Na beżowym obrusie ustawiono talerzyki z sałatką warzywną, kieliszki do wina, szklanki i cytronetę. Środek zajmowała butelka egri bikavera z wyciągniętym do połowy korkiem, owinięta papierową serwetką.

Panienki zapalały świece. Dostojnym krokiem zbliżył się do mnie mistrz ceremonii, gospodarz — z bujnymi kasztanowymi włosami i wąsem, w białej wykrochmalonej koszuli, starannie i modnie wymiętej, zbluzowanej nad czarnym paskiem z miedzianą klamerką. Spojrzał mi w oczy i lekko się uśmiechnął:

– Czekamy na towarzystwo? Spokojnie, proszę się częstować, niczego nie zabraknie.– Czy mogę się napić wina? — zapytałem. — Jasne, jesteście przecież naszymi gośćmi — sięgnął po butelkę i nalał do czterech kieliszków, poplamiwszy nieznacznie obrus i serwetkę. Odstawił wino i wycofał się z dość zgrabnym ukłonem. Uśmiechał się z wyreżyserowaną tajemniczością, lecz dyskretnie wcierał wilgotne palce przekładając ramiona do tyłu. Drzwi klubu otworzyły się szeroko i ukazał się w nich Franek, a za nim nieco wyższa od niego brunetka w czarnej spódnicy do kostek. Jasnoszara bluzka, z bufiastymi rękawami na gumkach, ozdobiona i oksydowaną broszką, w kształcie ćmy. Panienska uśmiechała się przyjaźnie, a lewe oko kokieteryjnie umykało jej na bok. Zapoznaj — zwrócił się do mnie Franek. — To jest Grażyna, podaliśmy sobie ręce. Jej uśmiech rozszerzył się, a ręka zwilgotniała. Usiedliśmy. Franek nie przestawał się rozglądać. - Grażyna studiuje pedagogikę i też wali sztukę, ale nie zakwalifikowali się w tym roku. Jak ten wasz teatr się nazywa? O, idzie Dzidka. No, siadaj. Klawa dziewczyna, co — rzucił na mnie porozumiewawcze spojrzenie i podniósł kieliszek. Dzidka była nieduża i nie uśmiechała się. Nie wstałem i nie podaliśmy sobie rąk. Wyglądało na to, że Franek nas sobie przydzielił już jakiś czas temu. Nie mieliśmy wyjścia. Unikaliśmy swoich oczu. Nagle mój kolega pochylił się nad stolikiem. Dzidka, Grażyna — w wasze ręce perswaduję. Pijemy za główną nagrodę. Wychylił cały kieliszek i szybko sięgnął po butelkę, dolewając wszystkim z meniskiem wypukłym. — Kto uroni łyżkę, stawia nową kreskę...

Panienki zaczęły się śmiać i kręcić głowami, a w tym czasie Franek konspiracyjnie nachylił się do mnie. — Schowaj do torby, bo muszę wstać. Zza paska wyjął butelkę żytniej i podał mi ją pod stolikiem. Za chwilę nalewał już trzeci kieliszek sobie i mnie. Nie zorientowałem się nawet, kiedy zdążył wypić poprzedni. Butelka się kończyła. Kelnerki podawały parówki musztardą i barszczyki z diablotką.

– No to lecę się zachować poniżej pasa, a wy tu sobie gadajcie o sztuce. Tylko się nie upierniczcie z punktu — zniknął w tłumie przybywających na kolację gości.

– Może coś zjemy — zaproponowałem. Nie czekając na towarzystwo zacząłem dziabnąć sałatkę i kroić parówki. Byłem głodny, a niewielka ilość wina zaostrzyła tylko apetyt. Z pełnymi ustami zwróciłem się do Dzidki. — A ty co robisz? No, teatr wiem, a poza tym?

Dzidka jest salową, na razie — powiedziała Grażyna, smarując chleb sałatką. — Będzie zdawała na medycynę. Punkty sobie robi. No nie?

Jedna z panienek w fartuszku postawiła obok mojego łokcia otwartą butelkę „byczej krwi”.

Dobre tempo — siorbnałem spory łyk barszczyku, zagryzłem pasztecikiem i uzupełniłem kieliszki. Pustą flaszkę odstawiłem na podłogę. Zapaliłem extra-mocnego bez filtra i przyjrzałem się obu dziewczynom. Dwidka miała długie włosy, nieokreślonego koloru. Trochę przydługą grzywkę i spory biust. Grażyna wyglądała dość zgrabnie. Ciągłe się uśmiechała, maczając język w kieliszku. Patrzyła zezem, prowokująco. Tej drugiej prawie nie było. Oczy spłoszone, a usta przygotowane na grymas, który nie następował.

Co ja tu z nimi robię — myślałem wysączać kolejny kieliszek. W tym tempie one się nie upiją, a i nam także nie będzie łatwo. Poza tym mamy z Frankiem wspólny pokój. Dwa łóżka. Może to nawet nie problem, ale tak jakoś... Niech on coś wymyśli. To jego pomysł, i Część towarzystwa z przeciwległego stolika zaintonowała: hej baba-ryba. Przyłączyli się inni. Mistrz ceremonii pojawił się na środku sali z butelką whisky w jednej dłoni i glinianym dzbanem w drugiej.

A teraz — krzyknął — cudowne rozmnożenie jedynej, porządnej wódki, jaką mamy. Taki cud jak w Kanie Galilejskiej. Każdy może się napić. Proszę podchodzić.

Wśród gromadki młodych, pierwszy jak zawsze, pojawił się Franek. Ujął za ucho napełniony whisky dzbanek i przechylił do ust. Po kilku łykach zakrzuszył się i oddał naczynie jakiejś panience. Za chwilę zatoczył się już koło nas. Czknął, obtarł usta i ciężko usiadł na fotelu.

Co za myszowata lura. On chyba dolał tam wody. Idźcie się napić, bo to już chyba resztki. Ale nie były to resztki. Długowłose gospodarz, lekko już nagięty zbliżył się do nas z podobną butelką Johny Walkera. Kazał opróżnić szklanki z cytronetą i nalał hojnie. Na koniec sam przechylił z gwinta parę łyków i podał mnie. Nie obcierałem szyjki. Ostrożnie łyknąłem dwa razy i poczułem żar w brzuchu. Podałem flaszkę Frankowi, a on bez przekonania dziewczynom, które śmiejąc się i krztusząc liznęły trochę płynu. Nie miałem już ochoty na zakąskę. Aby stłumić odór whisky w gębie, opróżniłem kieliszek wina. Nagle dotarło do mnie, że czuję się coraz swobodniej. Zaczynało mi się tu podobać. Spojrzałem i Franka. Przechylony przez oparcie fotela rozmawiał znów z jakąś laską.

Chodź tu do nas Kaśka! Na chwilę tylko. Poznasz naszego autora. Pierwsza klasa, mówię ci. Pierwsza nagroda. Tawerna. Przyjdź w sobotę.

Głupia dupa — mruknął zwracając się w naszą stronę. — Robi muzykę dla „Pajaców” z Kielc. Jutro grają, ale chuj wie po co. Wszyscy się na nią napalają, ale ona nie daje na wyjazdach. Ma chyba jakieś dziecko czy męża, a może syfa czy trypra. Kończymy wino i robimy miejsce na Johny'ego. Rozlał całą butelkę i, podobnie jak ja wcześniej, pustą odstawił pod stół. Grażyna coraz bardziej wyglądała na wstawioną. Nawet zezujące oko patrzyło teraz prosto przed siebie. Niemal równocześnie z Frankiem wypiliśmy whisky i zaraz potem po całym kieliszku wina. Została już tylko butelka w torbie.

- No jak cipki? O sztuce nie chcecie mówić, to może jakiś wspólny teatr zrobimy dzisiaj. Kto

z kim? Metodą pucharową, czy każdym z każdym? Są dwa łóżka, ale można je zsunąć. Teatr lubi duże sceny, a dzikie zwierzęta areny.

— Franek — przysunąłem twarz do jego ucha. Czułem się trochę pijany i chciałem uzgodnić plan działania na później. — Może się podzielimy. Wy pójdziecie najpierw, a za godzinę my, albo odwrotnie.

— Coś ty, kurwa, kierownik hotelu czy co? Rozdzielać będziesz łóżka. A może na krzesła ją zwiniesz, po co łóżko? Nie! Wiem! — krzyknął nagle — za chwilę odstąpisz im nasz pokój. Już ja cię znam, ty cichociemny artysto.

Zaczął się śmiać serdecznie i klepać mnie po ramieniu. Tymczasem nie zapomniał sięgnąć do mojej torby, żeby wyjąć z niej „żyto”. Wszyscy czuli się już pijani. Nie było obawy, że ktoś może wypić naszą wódkę. Franek z traskiem odkręcił korek, stuknąwszy wcześniej łokciem w denko butelki. Nie otworzył jej jednak. Zamyślił się, po czym umieścił ją z powrotem w torbie. — No króliczki. Komendant byłby zupełnie zapomniał o barku za ścianą. A tam dają mokre. Chodźcie. To bar dla wybranych. Pierwsza podniosła się Grażyna. Porwała za sobą Dzidkę i otworzyła drzwi do klubu Harcerskiego „Giaur”. Z głośników za barem sączyła się niegłośna muzyka —jakiś blues, może Joplin. Przy kontuarze siedziało kilku jurorów, blondyna w średnim wieku i dwie aksamitne rurki — małolaty.

— Cztery harcerzyki — zarządził Franek. — I co panowie. Jak festiwal? — zwrócił się do najbliższego siedzącego łyska w zamszowej kurtce. Gość wzruszył ramionami:

— Gdyby to ode mnie zależało, to bym to zlikwidował. Nieważne, że płacą jakieś pieniądze, ale to przecież gorszenie maluczkich. Każdy może dziś robić teatr. Przecież wy nawet nie wiecie, co to jest. Miotają się po scenie, krzyczą, bo na ulicy nie wolno. Prawda Adam? — położył rękę na ramieniu brodatemu blondynowi, najwyraźniej mocno „zmęczonemu”.

Czuję się — Widzisz, gruby... to nie jest tak... Teatr... to jest, gruby... aaa tam — machnął ręką i oparł brodę o kontuar.

Drinki nie miały smaku wody i poszły szybciej, niż można się było spodziewać. Przy trzeciej szklance Dzidka wyszła do kibla. Pewnie rzygać. A Grażyna uwodziła zezowatym uśmiechem panów jurorów. Płatyna czyściła spódniczkę i zbierała się chyba do wyjścia. Jedna z kotek przeciągle ziewnęła. .

— No to poszły panie po tartanie — zawołał Franek dopijając harcerzyka. Byłem pewny, że kręciło mu się już w głowie. Nie rozglądał się nerwowo i w ogóle był spokojniejszy. Wziąłem Dzidkę pod ramię, opróżniwszy prawie całą jej szklankę koktajlu. Niemal chórem krzyknęliśmy: dobranoc i dość głośno opuściliśmy barek, aby pożegnać mdłą atmosferę sali bankietowej. Prawdopodobnie dzieci napaliły już trochę „trawy”, bo gospodarze otworzyli okna. Na dworze panował poranny ziąb wczesnowiosennej nocy.

Może ty masz słusznego, żeby podzielić te łóżka — zaczął Franek, gdy szliśmy w stronę hotelu, kilka kroków za dziewczynami.

Ja pójdę z Grażyną na jakieś dwie obrotki, a wy zaczekacie.

A niby dlaczego wy pierwsi — próbowałem się buntować.

Może rzucić monetę?

Rzucę to ja zaraz pawia. Sprawiedliwości dziejowej mu się zachciało. Ja jestem pierwszy w analfabecie, a poza tym, musisz chyba trochę nakręcić Dzidkę, ponawiając. Nie od razu Kroków wyruchano. Grażyna mieszka tu niedaleko, ze starymi, to sobie pójdzie za trochę na chatę, a Dzidka mieszka prawie na wsi, za torami, to musi się przewalić do rana, do autobusu. Czyja zawsze muszę myśleć za wszystkich? Jest godzina za dwadzieścia pierwsza. I Gdzieś do wpół do trzeciej zwalniamy norkę. Może być? Aha, tylko najpierw się w czwóra napijemy. Weszliśmy do obskurnego hotelu, naprzeciwko brudnej stacji kolejowej. Franek wziął klucze i skierowaliśmy się do naszego numeru na pierwszym piętrze. Zapaliliśmy światło i próbowaliśmy włączyć radio, ale się nie udało. Po lewej stronie wisiała poźółkła umywalka i kawałek porysowanego, zapoconego lustra. Franek rozglądał się rozbawiony po pokoju, po czym zasłonił okna i zapalił małe światło.

No to co, koty, umawiamy się, sikamy do zlewu, nie? Wyjął butelkę z mojej torby i nalał pełną szklankę wódki. Podniósł do ust, łyknął solidnie i podał Grażynie. Dziewczyna małymi łyčzkami opróżniła zawartość. Nagle ściągnęła z ramienia swoją torbę i zaczęła nią kręcić.

Wiesz co, przyjacielu mojej kozy — Franek nalewał szklankę wódki, żeby mi podać, a kątem oka szukał wolnego miejsca na tapczanie. Usiadł i patrzył na moją walkę z alkoholem. Skrzywił się, kiedy prychnąłem soczyście za siebie.

Jak chcecie to zostańcie pierwsi, a my sobie z Grażynką posiedzimy w fotelach na piętrze. Macie dwie godziny, króliczki. Tylko tak róbcie, żeby dziecka nie było, a my na werandę, co nie Grażyna? Zakręcił wódkę i wsadził ją do kieszeni.

Dzidzia, pójdiesz potem do domu, nie? A ty ją możesz odprowadzić, tam za rzeczku. Trochę romantyzmu i odlotu. Jaki w sztuce jakiejś radzieckiej. Ech, Wiero Aleksandrowna, człowiek taki samotny... A jeszcze jutro ten pojedynek. Wasyl Siergiejewicz zastrzeli mnie... Wiszniowyj sad, ptaszki, Bracia Karamazow, Idioci.

Objął Grażynę ramieniem w pasie, zatoczył się w sposób aktorski, jeszcze raz odwrócił się do nas, klepnąwszy się po kieszeni z połówką.

Dla nas butelka, dla was dziupelka. Jasne? — otworzył drzwi i wyszli. Na korytarzu rozległo się jego gwizdanie i niewprawne odgłosy stepowania.

Rozbieraj się Dzidka — zwróciłem się do dziewczyny, a sam odłożyłem torbę i zsunąłem przez głowę sweter Zapaliłem extra-mocnego bez filtra i usiadłem na tapczanie blisko małego, koślawego

stolika z radiem. Dzidka zawinęła się cała kocem i położyła na drugim łóżku, zsunawszy z nóg półkozaki. Przysiadłem obok niej. Nerwowo pogłaskałem swoją rękę.

—Zgasić światło? — spytałem. Pokręciła głową. Nachyliłem się nad jej twarzą i delikatnie pogłaskałem lewy policzek. Wydobyła rękę spod koca i niewprawnie przytuliła do mnie. Zaczęliśmy się całować. Moja ręka pokonywała odległość pod kocem i spódnicą, żeby się znaleźć jak najbliżej miejsca nad pończochą, przy samych majtkach. Nie udawało mi się to. Dziewczyna wzdychała i wiała się zgrabnie, unikając macanek. Jednak przed ustami się nie broniła. Całowała dość śmiało, z języczkiem. Wykonywała przy tym głową rytmiczne obroty, które mnie rozpałały. Po dłuższej chwili trwania tych zawodów, oderwałem się od niej i spojrzałem jej w oczy.

—Rozbieraj się Dzidka. Szkoda czasu.

Wstała i wyłączyła górne światło. Aby jej dodać odwagi odwróciłem się i podszedłem do umywalki. Odkręciłem krany. Zareagował tylko jeden kurek — ten z zimną wodą. Z rur rozległ się smród chloru i zepsutego mięsa. Oplukałem dłonie i wytarłem w spodnie. Zzulem buty nie dotykając sznurówek, rozpiąłem szeroki pas i rozporek. Skrzypnięcie tapczanu oznajmiło mi, że już czas przystąpić do akcji. Nagi, tylko w skarpetkach, pokryty gęsią skórą wślizgnąłem się gwałtownie pod kołdrę z cienkiego koca w poszwie. Przywarłem do dziewczyny. Była w majtkach i biustonoszu. Zaczęliśmy się szamotać i całować, choć tym razem szło mi o wiele trudniej. Miała gładką skórę i pachniała zielonym jabłuszkiem. Jęczała przez zaciśnięte zęby i dłońmi ograniczała ruchy moich rąk. Przywarłem do niej, pokonując bolesne tarcie o jej biodra. Próbowałem przytrzymać jej ramiona i rozkrzyżować nogi. Wierzchem dłoni ześlizgnąłem się wzdłuż płóciennego trójkąta na łonie. Jednym palcem wyczułem chropowatość włosów nad gumką. Językiem otworzyłem jej usta. Zadźwięczały zęby, oddech i jęk zlał się z szelestem suchych włosów. Jeszcze raz spróbowałem rozdzielić jej uda. Raptowny, mokry spazm, drżenie, ulga i senność. Powoli przewróciłem się na wznak. Starłem się opanować oddech. Zamknąłem oczy. Nagle Dzidka przytuliła się do mnie całym ciałem i dłonią zaczęła pieścić moje włosy na piersiach. Rąbkiem poszewki obtarłem jej udo. Odwróciłem twarz i zamknąłem oczy.

I co księżniczko? Zadowolona? Że też ja zawsze, kurwa, muszę mieć takie szczęście. Rozumiem dziewczica, ale dlaczego tak trudno ci się z tym pożegnać. Właśnie dzisiaj. Dlaczego to ja...

Nie jestem dziewicą — Dzidka uśmiechnęła się blisko mojej twarzy. Uniosłem głowę i z całej siły dmuchnąłem prosto w jej wargi i oczy. Zacisnęła powieki i zaczęła chichotać.

—Ja nie umiem tak od razu. Daj mi papierosa. Wychodząc z łóżka, odruchowo owinąłem się zmiętym kocem, ale po dwóch krokach puściłem go na podłogę. Zapaliłem dwie sztywno ubite szlugi i wróciłem pod kołdrę. Tym razem dziewczyna leżała bez majtek i stanika.

Jakżeżwa na stonkę sły

Alleluja!
Wzielyżwa sikuty trzy
Alleluja!
Do rozstajnych dośly dróg
Alleluja!
No i tu my dały w cug
Alleluja!
Zrzute żeżwa zarządziły
Alleluja!
Znów sikutów dokupiły
Alleluja!
Rankiem jakżeżwa trzeźwiely
Alleluja!
Wszystką stonkę zaczađziely
Alleluja!

Na korytarzu, przed drzwiami pokoju słychać było dźwięczny głos Franka i chichot Grażyny. Po skończonej przyśpiewce, chyba tańczyli rock and roila z pogwizdywaniem, albo ganiali się między fotelami. Trąciłem Dzikę.

Ubieramy się mała. Już po piątej... O, kurwa, przecież oni... No pośpiesz się. Upili się chyba, albo stanął im zegarek. Nagle za drzwiami wszystko ucichło i ozwało się delikatne pukanie. Rozpoznałem SOS i uśmiechnąłem się do siebie. Franek nawet po pijaku niej tracił poczucia humoru. Spojrzałem na dziewczynę, która podciągaj i zapinała spódnice, po czym szeroko otworzyłem drzwi. Franek stał oparty o framugę z pustą niemal butelką uniesioną do czoła, jak salut amerykański.

No i co robaczki? Sesja w podzespółach zakończona. Trzeba sic przegrupować. Znajcie moje serce Słowianki. Zostawiłem wam parę łyków, na drogę.

Zanim zdążyliśmy się pozbierać, Franek chwiał się przy stoliki w samych tylko majtkach, a Grażyna, pijana i uśmiechnięta, leżał na tapczanie i zdejmowała pończochy. Dopilem wódkę prosto z butelki objąłem Dzikę w pasie pod kurtką i ruszyliśmy do wyjścia.

Dużo śluzu, mało luzu — się życzy koledze — chamie niewyspany. Kultury, kurwa, trochę państwo zna, czy nie? — Franek z uśmiechem pijackim zatrzasnął za nami drzwi. Znowu coś śpiewał i krzyczał na Grażynę.

Powoli zaczynało szarzeć. W powietrzu wisiała wilgotna mgła. Nie odzywaliśmy się do siebie. Dzikka skierowała się w stronę stacji. Minęliśmy na ukos dworcowe kible i przeszliśmy przez tory. To była naprawdę męcząca noc. Czułem w sobie wódkę i zmęczenie. W głowił tłukły mi się myśli, które mój kolega podsumowałby powiedzonkiem w rodzaju: noc spędziłem nadaremnie, była dupa,

ale ze mnie.

Daleko jeszcze?

Tam za tym mostkiem — wyciągnęła przed siebie rękę. Patrzyła pod nogi.

To do jutra — przyspieszyła kroku.

— Dzidka, nie gniewasz się na mnie...? — wytarłem nos i zakaszlałem.

Coś ty. Taki teatr. Grałam w końcu główną rolę, no nie? Nagle zatrzymała się, odwróciła i podeszła do mnie. Położyła mi rękę na ramieniu i przekrzywiła głowę.

A prawda... nie do jutra, kochanie, tylko do dzisiaj. To ci pa. Pocałowała mnie w usta i zawróciła biegiem. Nie przeszkodziłem jej. Idiotyczna sytuacja dobiegła końca, a my I byliśmy przecież jeszcze bardziej obcy sobie niż na początku. Wracalem po śladach. Czulem wzwod poranny i ucisk na pęcherz. Odlalem się pod ścianą dworcowej latryny. Na ulicy pusto, cicho i bezwietrznie. W oddali slychać przejeżdżający pociąg.

Na dworze zimno — wiatr i zawieja

Wszyscy do pracy — dobrze, że nie ja.

Dźwięczała mi w uszach Frankowa przyspiewka z okresu imprez w akademiku. Wszystkie przygody z nim były związane z męczącym kacem, niesmakiem w duszy, poczuciem winy, ale po jakimś czasie, jak wódka zyskiwały przy bliższym poznaniu. Wracalo się do nich wspomnieniami, jak do krainy bzdury i dzieciństwa. Poczulem nagle straszne pragnienie. Palila mnie rura, jakby to ujął Franek. Postanowiłem wrócić do hotelu i napić się wody z kranu, ale natychmiast przypomniał mi się smród brudnej umywalki, co wzmogło tylko suchość w gardle. Zaczęła mnie boleć głowa. Kilkanaście metrów przed hotelem zatrzymałem się niezdecydowany, rozglądając się za jakąś uliczną studzienką lub sklepem, przed którym ustawia się o tej porze skrzynki z mlekiem. Niestety nic takiego nie mogło się wydarzyć w tej bajce, suchej, jak odchody pterodaktyla. Ruszyłem wąską uliczką, w stronę centrum miasta, czyli rynku z kościołem, posterunkiem milicji, magistratem, a może nawet metą i burdelem. Nagle usłyszałem kroki zbliżającego się do mnie z przeciwka mężczyzny ubranego w mundur kolejarza. Wyglądał świeżo, ale niezbyt wesoło. „Poranna witaj zmiano” — wiadomo.

Przepraszam bardzo — wykrztusiłem z chrypą i kaszlem. — Czy tu gdzieś można się czegoś napić? Czy coś będzie już otwarte, jakaś knajpa lub bar?...

To trudne, panie kolego — kolejarz uśmiechnął się ze zrozumieniem i odruchowo poprawił pod pachą teczkę, w której na pewno trzymał termos z herbatą lub kawą.

Poczulem, że w ustach nie mam już ani jednej kropli śliny. Nie mógłbym go nawet opluć za ten kolejarski egoizm.

Zaraz, zaraz kolego, może się jeszcze napijesz. Tam na dole, po lewo będzie „Wozacka”, chyba

już czynna. Jak stoją bryki — to otwarte. A gdzie by tam „Wozak” zamknięty, o tej porze musowo się napić. Tam w dole po lewo — ręką wskazał wąski zaułek jakieś pięćdziesiąt metrów po drugiej stronie ulicy z kocimi łbami.

Wyminąłem go bez słowa. Czułem, że stoi jeszcze chwilę i patrzy za mną, z tym samym uśmiechem.

Musowo się napić kolego, musowo — wołał za mną zduszonym głosem.

Za zakrętem zaczynała się niemal wiejska droga usłana kamieniami, rozbitymi płytami betonu i metalowymi częściami jakichś maszyn lub wozów. Wzdłuż drogi, trochę z dala, stały pojedyncze domy, a właściwie chałupy. Na samym dnie stromego wąwozu ulicy zaczynały się kilkupiętrowe kamienice odrapane i sine. Przed tymi kamiennym ciągiem, wzdłuż metalowej żerdzi stały trzy wozy zaprzężone każdy w dwa pociągowe konie, ciemnobrązowe — prawie czarne. Podeszedłem bliżej. Obok schodów prowadzących na dół, do piwnic kamienicy, na jednym z pokruszonych murków, siedział woźnica w kaszkiecie i kozuchu do kolan, trzymający w ręku bat z bordowym pomponem na szczycie. Śmierdziało octem i końskimi łajnem. Chłopak przyglądał się swoim koniom, które do pysków miały przywiązane brudne worki z sianem. Nie spojrzał na mnie. Pluł przed siebie i charczał nosem, głośno przełykając flegmę. Nad, schodami wisiał metalowy, obity sztyld z czarnym napisem: „Furman”. „Wozak”, czy „Furman” pomyślałem — byle tylko pić dali.

Zszedłem po schodach i pchnąłem oszklone, barowe wrota. One jedne przypominały uspołecznioną gastronomię. W twarz uderzyła mnie para i kwaśny zapach piwa i papierosów. Za skrzypiącymi drzwiami omal nie wykopyrtnąłem się pokonując kolejne trzy nierówne stopnie. Wreszcie byłem już w środku. Na samym dnie. Pomieszczenie było nieduże, chyba kwadratowe, wypełnione ciemną cizbą furmanów, krzyczących i gestykulujących jeden przez drugiego. Z tyłu nad drzwiami jaśniało mętne okno z ciemnozieloną, gruba szybą, odrutowaną wewnątrz. Naprzeciwko wzdłuż ściany, ciągnął się bufet, czyli lodówka. Za nią półki z wódką i papierosami, i długi, wąski, mrugający nerwowo neon. Przy bufecie stała trzyosobowa kolejka. Każdy z wozaków opierał się o szybę chłodziarki. W lewej ręce trzymali baty. W przybrudzonej kitlu, za bufetem ruszała się dość młoda, dość gruba i rumiana kobieta w białej koronkowej przepasce na jasnobłond włosach, zaczesanych w kok. Uśmiechała się szeroko. Mówiła głośno, dźwięcznym sopranem.

Tłum woźniców stał za wysokimi blatami, do których przytwierdzone były kiedyś metalowe zydelki. Teraz sterczały tylko połamane rury, z których wyglądały wstawione w nie baty. Nikt nie siedział. Przede mną, przy samych schodach, blokowała przejście do bufetu grupa mężczyzn, którzy nie znaleźli miejsca przy blatach i trzymali swoje kufle w powietrzu, przestępując z nogi na nogę. Nikt na mnie nie zwrócił uwagi. Przecisnąłem się obok furmanów i zająłem miejsce w kolejce do bufetu. Było duszno. Dym papierosy łzawił oczy. Poprawiłem torbę na ramieniu i zapaliłem „schabowego”. Za moimi plecami ustawił się ktoś z pustym kuflem. Pierwszy raz w życiu, o tej porze, zobaczyłem nad lodówką chmarę muszek, rojących się nad dwoma talerzykami sałatki włoskiej. Za szybą na dole stała spora, alt jedyna porcja galarety i talerz z pokrojonym na kawałki

ciemno żółtym, spotniałym serem.

No, Cynadera, pracuje się, nie? — bufetowa stuknęła kuflem o kran i przechyliła wajchę, żeby nalać piwa.

A co to, kurwa, za praca, wóz mi się rozpierdala, konie ledwie ciągną i kończy się węgiel. Na ciepło idzie, to kto by tam chciał. Wiosną — to graty będę targał, a teraz o tak, fiuta wożę za frajer.

—Ale co tam, do Zośki zajdę, piwo walnę, faję zgrzeję, nie Zośka?

No dobra będzie, ale setę jeszcze, kochana i dość.

— No jak wódę Cynadera bierze — to i roboty nie ma, trudno. Bufetowa — Zośka jedną dłonią ustawiła przed chłopem dwie małe i literatki i nalała stołowej, po czym odstawiła butelkę i sięgnęła pod ladą po talerz galarety. Nie zdążyła jej postawić na wierzch, bo Cynadera zamachał rękami i głową. Talerz stuknął w dno lodówki. — Piją, kurwa, nic nie żrą, a zakąska obowiązkowa. Znowu jakaś kontrol najdzie — to mnie wyjebią.

– Nie marudź Zośka, i tak kompinujesz, jak możesz. To cię może i wyjebią, ale robota będzie.

Cynadera ujął kufel wielką łapą, a między trzy ostatnie palce wcisnął szklaneczki. Szklany ładunek skierował ku sobie, wyciągnąwszy do przodu łokieć w skórzanej kurcie i ruszył w głąb sali. Po chwili zniknął w cizbie i chyba udało mu się znaleźć miejsce na stole. Tak naprawdę to chciałem napić się tylko oranżady, albo wody sodowej, ale próżno szukałem małych butelek za ladą. Może są w skrzynkach na zapleczu. Zośka obsługiwała następnego gościa — Szczura. Był to maleńki człowieczek, około sześćdziesiątki, w wełnianej, grubej kurtce i skórzanej pilotce na głowie. Był brudny i nie ogolony, z rzadkimi wąsami pod haczykowatym nosem.

—Piwo i setę, Zosiu. Coś taka rozanielona dzisiaj? Chłop targał za dziada w nocy? A może nie? — zaśmiał się zgryźliwie. Miał tylko dwa brązowe zęby i długi, cienki język, którym mlaskał w uśmiechu.

—Ja to do Szczura melodii żadnej nie czuję. Piwo i setę podam, ale żeby mi zawarł ryja.

— Zośka po nalaniu alkoholu, odruchowo sięgnęła po galarete, ale Szczur łapał już swoje naczynia i z wyciągniętym przed siebie łokciem ruszał w stronę kumpli, którzy krzyczeli coś w jego kierunku. To dziwne, że nikt dotąd nie zwrócił na mnie uwagi. Jednak chyba różniłem się od reszty towarzystwa. A może tu nie idzie o bat, czapkę i ubranie. Może popatrzą na mnie dopiero wtedy, kiedy zamówię jakąś cytronetę. Nie, nie wolno mi. Muszę wziąć piwo. A nawet piwo i setę. Tylko jak mi się uda złapać to wszystko moją małą dłonią, tak samo wprawnie jak wszystkim. Żebym tylko czegoś nie rozlał. O, wtedy by mnie dostrzegli. Wyobrażam sobie, jaka zapadłaby cisza. Tymczasem jednak żadnych kłopotów. Papieros parzy w palce. Rzucam go w błoto na posadzce. Żałuję, że nie mam bata. Zawsze to zręcznie. Przynajmniej zjedną ręką. Przedemną wielki wozak w czarnym płaszczu zamawia dwa piwa i setę. Pierwsze wypija duszkiem, zanim jeszcze Zośka zdążyła nalać drugie i wódę. Następne wypija do połowy, a zawartość szklanek wlewa gwałtownym

gestem do kufła.

—Daj setę jeszcze, Zosiu.

A już myślałem, że zrobię podobnie. Zawsze to byłby tylko jeden kufel, ale widać każdy tu musi jedną ręką zanieść aż trzy naczynia. W myślach ćwiczyłem ruchy, które za chwilę miałem wykonać. Nagle spostrzegłem, że palce prawej dłoni mam cały czas rozczapierzone. Wiedziałem, że istotny będzie ruch łokcia i opuszczenie naczyń poza bufet. Żeby mi tylko nie wpadło do głowy powiedzieć: przepraszam. - Co jest? Co ma być? — usłyszałem głos Zośki.

No piwo i seta, nie? — krzyknąłem trochę za głośno.

Nie drzyj się, Bródka, bo się nie boję — uśmiechnęła się cierpko Zośka i uniosła wzrok do sufitu napełniając mi kufel z taką samą wprawą jak poprzednie. Po chwili obok stały dwie literatki. Rzuciłem trzy monety na ladę i chwyciłem ucho kufła, starając się umocować szklanki między palcami. Zośka odliczała mi resztę, a ja korzystając z jej nieuwagi pomogłem sobie drugą ręką. Zgarnąłem z lady drobniaki, podniosłem łokieć i nakierowałem się na środek sali. To naprawdę trudno sobie wyobrazić, ale płynąłem w gęstwinie ludzkiej jak w przejrzystej wodzie. Wozacy rozstępowali się przede mną i nagle spostrzegłem, że mam już kawałek blatu, na który mogę postawić szkło. Nikt mi się nie przyglądał. Czarodziejski gest rozwiązywał wszystkie kłopoty. Wydało mi się, że tajemnica tego lokalu nie polega na jego wielkości tylko na przedziwnym systemie, albo rytuale, którego nie sposób uniknąć w tym miejscu. Już teraz uwierzyłbym, gdy mnie ktoś próbował przekonać, że zazwyczaj mieści się tutaj dwukrotnie więcej ludzi.

Stałem obok Cynadery, który palił sporta w czarnej, szklanej fifce, do połowy wsuniętej do półotwartych z jednej strony ust. Miał uniesioną brodę i filozoficzny wyraz twarzy. Nagle zaczął coś mówić. Zorientowałem się, że bełkocze do siebie. Wielu wozaków opowiadało coś, żaden nie słuchał. Było to miejsce do gadania, a nie do rozmów. Powoli wypił obie szklaneczki, jedna po drugiej. Odsunął je od siebie kantem dłoni i ujął kufel. Lewą ręką rozpiął kozuch i przechylił się do tyłu. Spod blatu doszedł mnie ostry zapach uryny i zrozumiałem słuszność jego ksywy.

Nie odrywając kufła od ust wypilem połowę i wlałem do środka zawartość obu literatek. Słyszałem kiedyś, że taki koktajl nazywają: piwo z ubotem.

To nie sztuka zabić kruka, ale go mieć—mruczał Cynadera, a ja nie byłem pewny, czy się nie przesłyszałem. Natychmiast powinienem coś zaczął mówić. Moje milczenie stanie się za chwilę podejrzane nawet dla mnie samego. Usilnie próbowałem przypomnieć sobie jakąś kwestię z nowego spektaklu, ale do głowy przychodziły mi, ni wiedzieć czemu słowa: „kto się w opiekę odda Panu swemu...” Zidiocenie poranne, albo zmęczenie po całej nocy. Ciekawe, jakby się Franek zachował. Musiałem przyznać, że trochę mi go brakowali. Pomyślałem o Dzidce. Ciekawe, czy dzisiaj przyjdzie do klubu. Poczulem nagle, że mam ochotę dokończyć to, co nie wyszło w nocy.

Naciągnąć dziewczynę na dupę. Chyba po to pisze się sztuki zacząłem mówić do siebie, patrząc w dno kufła. — One wszystkie chcą tego samego. Pokazać się z chłopem. Wyobrażać sobie, że są

damami, a w końcu wśród ceregieli dąsów dać dupy do samego końca, biorąc na własność tego fiuta, który się z nimi mocuje, bez względu na to, jak daleko odstaje od ich babskich wyobraź o fantastycznym fallusie. To facet w gruncie rzeczy ma skrupuły Baba nie. Widziałem wczoraj sporo takich kurewek, w pretensjach które wchodziły ze swoimi chłopakami, a na twarzy miały wypisani patrzcie na mnie. W takiej samej sytuacji facet obok niej rozglądaj z dumą: fajną mam dupę, nie? To są modliszki, chłopie — spojrzałem na Cynadrę, który kłaśnieciem dłoni wytrząsał peta z cygarniczki. Ująłem pusty kufel i szklanki. Z łokciem przed sobą ruszyłem w stronę bufetu.

No, co Bródka, powtórzyc? — Zośka zabrała mi puste naczynia i bez płukania przy zlewie, naląła piwo i wódkę. Odliczone pieniądze pchnęła kantem dłoni do wysuniętej szuflady. Niech się Bródka poluźni, torbę sobie powiesi. Za złodziei nas bierze, czy jak?

Nie bądź za mądra, Zośka — usłyszałem za sobą ochryply głos.

— Ślubną torbę ma wieszać? Twój może z tobą tak robi, ale dla chłopca torba — rzecz święta. Na byle kołku stare torby wiszą, — Stara to może twoja, Kuśtyk — odcięła się Zośka i wyciągnęła rękę po kufel.

Ledwie zająłem miejsce obok Cynadery, z łokciem do przodu zjawił się Kuśtyk. Przysunąłem się do wozaka w skórce. Kuśtyk miał jedną nogę krótszą i sztywno zgiętą w kolanie. Przy każdym kroku zapadał się nisko, jakby chciał przykleknąć. Energicznym gestem postawił szkło na blacie.

—Ty, Bródka, nie jesteś stąd — zaczął maczając wąsy w piwie.

—Od studentów chyba, nie? — siorbnął i przestąpił z nogi na nogę, niknąc prawie pod blatem.

— I powiedz mi, co wy tam przedstawiacie? Płacą wam za to?

Nie płacą, Kuśtyk. Ledwie za pociąg zwracają. Ale żreć dają spać — uśmiechnąłem się do niego i zmrużyłem oczy.

— I tak miasto buli pieniądze na salę. W remizie i w Domu Kultury. Potem się chwają, że pomagają — Kuśtyk znowu zniknął stołem. — Tam jeżdżę koło remizji, to widziałem. Takie dziewczuchy poubierane jakoś... nie jak wszyscy. Wiadomo, dziwaki, komediancy... ale piją i pryte. Jak siniaki pod blaszakiem. To skąd one, Bródka, grosz mają. Chyba im płacą?

Od starych biorą. Każdy student, to artysta. Chce coś pokazać, zabawić się. Ty byś też, Kuśtyk, teatr robił na ich miejscu. Zawsze to można gdzieś pojechać. Poznać ludzi. Na miejscu nudno.

A tam — zaczął się śmiać, chrypiąc i pryskając śliną. — Mój teatr tam — podniósł rękę. — Te dwie szkapy i dyszel. Też jeżdżę, koks wożę, cement, cegły. Budują się co poniektóre. Muszą płacić. W rękach nie zaniesą. Tu się czasem zajedzie, napić z rana. Jak nie ma roboty.

Cynadera nachylił się gwałtownie w naszą stronę.

Wiesz, Kuśtyk, że Poczvara nie pije. Już chyba z tydzień, a może lepiej. Syna mu we wojsku zabili — spojrzał na mnie, nie wyjmując z zębów brudnej cygarniczki. Kuśtyk machnął ręką

i sięgnął do kieszeni płaszcza. Znowu zapadł się pod stołem.

E, tam. Napisali w piśmie, że sam się zastrzelił. Takie gadanie. — Wyjął pomięte opakowanie sportów i podsunął mi pod nos.

Z Kowalem do spółki coś kompinują — mruknął Cynadera, sięgając mi przez głowę po papierosa.

Mówią, że Kowal trzyma granaty. Poczwara nie daruje. Już taki jest. Konia sprzedał. Tu nie zachodzi...

A coś ty, Cynadera. Jednostkę rozpiździ tymi granatami? A co mu kto winien? Kuśtyk wsadził papierosa do ust i zapalił zapałkę. Fajka drgała mu między wargami, gdy chrypiał podając nam ogień:

Poczwara zawsze coś kompinuje. Jak z tymi choinkami rok temu. Mało teścia nie zajebał, a to syncio opchnął koleżkom. Jego nie ruszył, swoja krew. Ale on się sam zastrzelił... tak było w piśmie.

A co ty tam wiesz, Kuśtyk. Mówią, że się dwóm takim stąd naraził, aż tu we wojsku się spotkali. A oni tam broń mają, nie to co tu, u nasz. Poczwara wie, kto oni. Załatwi ich, dlatego przestał pić i sprzedał konia.

Cynadera i Kuśtyk sięgnęli po literatki. Stuknę się i włali do gardła, nie przełykając. Skrzywione twarze i powolny wydech świadczyły o wzniesionym toaście i usprawiedliwiały chwilową ciszę. Pierwszy odezwał się Kuśtyk, klepnąwszy mnie w ramię.

Czemu, Bródka, nie pijesz? Trzeba pić, chłopie. Już południe. Spojrzałem na zegarek. Była punkt dwunasta. Ciekawe, skąd on wiedział. Chciałem zapytać, ale pomyślałem, że się ośmieszę. Taki wozak ma pewnie swoje sposoby. Nie polegało to na obserwacji słońca. Przez grubą, butelkową szybę małego okienka nie przecisnąłby się żaden promień. W tym miejscu życie pulsuje własnym rytmem. Energicznym ruchem uniosłem naczynie z wódką do ust. Nie udał mi się jednak pochłonąć całej zawartości. Z trudem opanowałem prychnięcie. Wstrząsnęło mną tylko, ale ukryłem to podnosząc kufel.

Spektakl zaczynał się dopiero o siedemnastej. O czternastej miał być obiad. Nie bardzo interesowało mnie, czym się zajmuje reszta naszej grupy. Dziewczyny pewnie chodzą po sklepach, a Franek z Michałem poszli na piwo. Nigdy nie przyjdzie im do głowy, że jestem tutaj — w „Furmariskiej”. W życiu by tu nie trafili. Był chyba piątek. Graliśmy dopiero następnego dnia, a dzisiaj wieczór zapowiadał się podobnie jak poprzedni. Znowu przyjdą Grażyna i Dzikka. A jak nie, to Franek wynajdzie inne dupy. Czuję, że upijemy się wieczorem z jurorami. Tam w klubie „Giaur” czy jak mu tam. Oni będą nudzić o sztuce, wszyscy będziemy narzekać na poziom imprezy, a potem dowleczymy się jakoś do hotelu. Z dupami albo bez. Już teraz mało mnie to obchodziło. my pozowaliśmy na artystów, jurorzy na znawców sztuki, organizatorzy na przyjaciół młodzieży,

a ci z SZSP na dobrych wujków i równych gości. Żaden z nich nigdy nie był w takiej wozackiej knajpie. Mizdrzą się wobec siebie i udają. Teatr w naszym wykonaniu polegał na nieustającej grze pozorów. Kto prezentuje wyższy stopień wtajemniczenia, ten nie przejmując się uwagami z zewnątrz. Jest artystą. Mówi dużo i dosadnie. Imponuje dziewczynom. Pije, pieprzy. Jak Franek na przykład. Wiadomo, że to on będzie opowiadał o tym wyjeździe, kiedy wrócimy wreszcie do domu, na uczelnię i do akademika.

Upił się, Bródka. Gadasz do siebie — upomniał mnie Cynadera, stuknąwszy lekko swoją szklanką o moją. Posłusznie dopiłem wódkę i zrozumiałem, że dreszcze ustąpiły, a wokół zrobiło się jasno i przestrzennie. Byłem na rauszu. Chciałem mówić i mówiłem, nie przejmując się, że nie słucha mnie ani Cynadera, ani Kuśtyk który poszedł chyba po świeże piwo. (...)

Czytaj całość: Akcent 1 (59) 1995 str. 46 - 58